

ELIZA ORZESZKOWA

POCZĄTEK
POWIEŚCI

Eliza Orzeszkowa

Początek powieści

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843306

Początek powieści:

Аннотация

Dwa dwory, dwa małżeństwa, dwie opowieści toczące się równolegle. Jeden z ciekawszych formalnie utworów Elizy Orzeszkowej „Początek powieści” to dwa utwory w jednym, dwie różne historie dziejące się w tym samym miejscu i czasie. Tematem obydwu jest narzeczeństwo i zamążpójście córki. Obydwie nowelki zbudowane są w identyczny sposób, zaczynając od opisu dworu i okolicy, poprzez przedstawienie postaci, aż do zawiązania akcji. Paralele na poziomie zarówno treści, jak i formy czynią ten utwór nieomal prozą poetycką, a autorka w przedmowie wprost zaprasza do krytycznoliterackich analiz i refleksji. Zdecydowanie godne polecenia.

Содержание

I. Człowiek i lalka

7

Конец ознакомительного фрагмента.

17

Eliza Orzeszkowa

Początek powieści

Życie człowieka, – to treść do powieści.

W niém są epizody dramatu i komedyi, – źródła łez i wybuchu śmiechu. W niém są szczególnież chwile pewne, z których wysnuwają się nici dalszego istnienia. Chwile te stanowczo oddziaływają na przyszłość całą, i potem, kędy się zwrócisz: wokoło siebie, w głębi serca, na tle myśli, – wszędzie dojrzysz ich ślady.

Zejsście się mężczyzny z kobietą bywało dotąd ową chwilą, dostarczającą zwykłej do powieści osnowy. Poprzez różne zapory i trudy, z tysiącem walk i boleści, powieściopisarz przyprowadzał młodą parę do ołtarza, a niekiedy jedno z dwojga bohaterów składał w mogile.

Dziś powieści, osnute jedynie na owych tragicznych wędrówkach par ku obrączkom ślubnym, spowszedniały, a nawet mało mogą przedstawiać prawdy. Dziś niéma już okrutnych ojców, zniewalających córki do zaślubiania bogaczy; klasztory o żelaznych bramach nie zamykają się za ofiarami rodzicielskiego despotyzmu; dziś bohaterki silniejsze jakoś mają piersi i nie tak łatwo, jak dawniej, umierają z suchot, a bohaterowie nie drżą przed rozkazami ojców i sami dla siebie wybierają towarzyszek życia. Duch kastowy, nierówność stanów, coraz téż mniej przedstawiają tła dla tragiki romantycznej; bo byle nastrój

umysłów i serc dwojga ludzi był równym, mało kto już wgląda w heraldyczne szpargały, aby niemi rozłączać zakochaną parę. Zdarzają się zapewne wyjątki. I teraz jeszcze na drodze tych, którzy chcą żyć razem, stają niekiedy przeszkody, wynikające z nadzwyczajnych okoliczności i niewykorzenionych całkiem przesądów. Ale są to już tylko wyjątki, a życie istotne, ogólne, któremu podlegają wszyscy, i w którym w obecnym stanie społeczności najwięcej dramatu i nauki znaleźć można, to nie krótka wędrówka od spotkania się do ołtarza, ale owa długa wędrówka od ołtarza do mogiły.

Więc dzisiaj opis zejścia się mężczyzny z kobietą, to jeszcze nie powieść, to tylko **początek powieści**.

Jak w starożytnych tragediach, przed rozpoczęciem się właściwej scenicznej akcji, chóry zapowiadały w prologu zebranym widzom, jakiego osnucia sztuki spodziewać się mają; tak przed rozpoczęciem się dramatu życia dwojga ludzi, powieściopisarz, chcący przedstawić życie istotne, opowiedzieć musi prolog ich – spotkanie się, poznanie i powody, które ich połączyły. Namiejętności, interesa, szal, niedoświadczenie, podłość, zbytek szlachetności nawet, najdziwniej niekiedy ludzi prowadzą. Z początku wszystko pięknie; z zasłoną na oczach idą ku ołtarzowi niedoświadczenie i szlachetność, a interes i podłość cieszą się ze zdobyczy. Potém... potém rozpoczyna się życie właśnie najciekawsze i najwięcej nauczające, właściwa treść powieści i dramatu.

Wszakże i początkiem pogardzać nie można. To źródło;

warto i jemu się przypatrzeć, aby lepiej módz pojąć późniejsze i zaradzić złemu. Jakim sposobem naprzykład zejść się mogą mężczyzna-człowiek z kobietą-lalką, albo kobieta-człowiek z mężczyzną-robakiem? Dlaczego otaczający podają pomoc tym potwornym związkom? Jak i dlaczego robaki i lalki przywdziwiają maski ludzkie, aby zwieść i usidlić ludzi?

Trzeba to widzieć koniecznie, aby módz pojąć potem dramat przyszłego życia.

Trzeba widzieć, jak się schodzą ludzie, aby wiedzieć, dlaczego później tak, a nie inaczej, idą ze sobą.

Więc chociaż dla tego, kto piórem chce malować dramata tegoczesnych istnień, głównym wzorem powinno być życie par po odejściu ich od ołtarza, toć przecie kreślenie dróg, którymi ludzie do niego idą, pozostanie koniecznym **początkiem powieści.**

I. Człowiek i lalka

W jednej z najpiękniejszych okolic nadbużnych stał przed kilkunastu laty duży, dwu-piętrowy dom, ogólnie przez sąsiadów pałacem nazywany. Zgrabne balkony, wsparte na lekkiej kolumnadzie, wznosiły się nad dziedzińcem, otoczonym pięknymi gospodarskimi budowlami. Od ganku do murowanej bramy, zamykającej sztachety, w przeciwną stronę, zginęły się dwie, osadzone kwiatami i usiane żółtym żwirem, drogi, jakby ramionami obejmując wielkie koło świeżej i równej murawy. Za bramą szeroka biała droga biegła coraz wyżej, pnąc się na górę, – a daleko, na krańcu widnokreślu, jak okiem zajrzeć, ciągnęły się prześliczne wzgórza, to pokryte lasami, to usiane zbożem. Z za lasów i zwgórków gdzie-nie-gdzie wychylały się wioski, rysując na tle krajobrazu grupy szarych chat i wysokich krzyżów. Z drugiej strony domu w tysiące wzorów łamały się klomby z kwiatami, a między nimi ścieżki wiodły ku wstędze wąskiej i bystrzej rzeczki, biegnącej w węzowych kręgach między zielenią krzewów i traw. Dalej stare lipy i smutne jodły tworzyły cieniste ogrodowe aleje, a wśród nich otwierały się szerokie, jasne przestrzenie, oblane słońcem, usiane murawą i kwiatami.

Miejsce to, nazywające się Próznowo, wraz z kilku wsiami i obszernymi łąkami pół, należało do pana Swatowskiego.

Pan Andrzej Swatowski miał w owej porze lat przeszło 50, majątek wynoszący blisko milion, córkę jedynaczkę

i opinią **porządnego człowieka**. W dwudziestym roku życia, skończywszy siedm klas szkół gimnazyalnych, zaczął gospodarować w majątku ojcowskim. Po śmierci rodziców ożenił się i pojechał parę razy za granicę. Wróciwszy z ostatniej podróży, postawił dom, zwany w okolicy pałacem, sprowadził piękne meble, powozy i dwie guwernantki cudzoziemki dla swojej jedynaczki. A że gospodarstwo szło mu dobrze, że nie grał w karty, nie pił i wyraźnie nikogo nie krzywdził, z żoną żył bardzo przykładnie i córkę bardzo starannie wychowywał, za te wszystkie cnoty swoje jakże nie miał otrzymać nazwy porządnego człowieka?

W roku 1857, w połowie Czerwca, pola zieleniły się, kwiaty żywemi jaśniały barwami, słońce oświecało ziemię ciepło, radośnie.

W ładnym salonie próżnowskiego domu, wielki bronzowy zegar oznajmił trzecią godzinę po południu. Pan Swatowski, w-pół leżąc na fotelu, oddawał się codziennemu poobiedniemu spoczynkowi. Na okrągłym i rumianym jego licu rozlewał się spokój zupełny; wąsy sumiaste, nieco siwe, pokrywały usta, złożone jakby do smakowania potrawy. Głowę miał wspartą na poduszkach fotelu, a ręce splecione spoczywały na zaokrągleniu figury, która przez regularny sen i posiłek przybrała dość znaczne rozmiary.

W rogu salonu, na małej kanapce, z francuzkim romansem w rękę, siedziała kobieta około lat czterdziestu. Pani Leokadya Swatowska piękną była-by jeszcze, gdy-by nie wyraz pychy i

chłodu, zalewający twarz jej i mówiący przez wpeł zmrużone oczy. Córka dawniej, arystokratycznej a zrujnowanej rodziny, z wychowaniem skrzywionem, przyzwyczajona do zbytków i błyskotek, wyszła za mąż nie z popędu serca, ale dlatego, że pan Swatowski miał znaczny majątek. Pan Andrzej zaś ożenił się z nią dla stosunków, a że oboje nie mieli skłonności do marzeń i pragnieniem nie wybiegali po za rzeczywistość, dobrze było pani Swatowskiej z majątkiem pana Swatowskiego, i panu Swatowskiemu ze stosunkami pani Swatowskiej. Oboje cenili wysoko to, co nabyli. Pan Andrzej często mówił o arystokratycznych stosunkach swoich, brzmiałymi imionami imponując słuchającym sąsiadom; pani Leokadya ubierała się bogato, z głębi miękkich foteli rozkazywała licznyemu sługom, jeździła często za granicę, i wróciwszy, o niej tylko mówiła.

Miedzy śpiącym ojcem i czytającą romans francuzki matką, w białej, lekkiej sukience, z wachlarzem w drobnej rączce, przechadzała się panna Zofia Swatowska. Piękne było bardzo to ośmnasto-letnie dziewczę. Wysmukła i kształtna, lice miała przezroczystej białości. Włosy bardzo jasne wznosiły się wysoko, jakby aureolą promieni, a dziwną sprzecznością, czarne brwi i czarne długie rzęsy otaczały duże, szafirowe oczy, to pałające tysiącem ognia, to wabne, łzą jakby zamglone. Usta małe, karminowe, jakby gałązka koralu, rozkwiatały wśród białej twarzyczki; głos miała dzwięczny, srebrny, mowę dziwnie miękką, pieszczoną. Wychowana przez matkę dumną, próżną i pamiętającą o swoim wysokim pochodzeniu, od dzieciństwa

uczyła się próżności i dumy. Bony i guwernantki od kolébki mówiły jéj o piękności, bogactwie i blasku, jako o jedynych dobrach ziemi. Uczono ją czterech obcych języków, muzyki, rysunku, tańców; uczono, jak się ma znaleźć w każdym towarzystwie, jak ma siedzieć, chodzić, stawać i mówić, aby jéj ruchy i słowa miały jak najwięcej arystokratycznej dystynkcyi.

Mając lat siedmnaście, skończyła wychowanie. Mówiła obcemi językami, grała na fortepianie, śpiewała dźwięcznie i słodko; wiedziała, jak w towarzystwie odróżnić ludzi według sfer, kiedy i komu uchodzi, albo nie, podać rękę, uśmiechnąć się, przemówić uprzejmie. O dziejach, naturze, o poważnych prawdach życia, najlżejszego nie miała wyobrażenia; rodzinnym językiem z trudnością wypowiadała myśli; o gorących a zacnych uczuciach nie zasłyszała nawet. Słowem, córka porządnego człowieka i arystokratki z rodu, była piękna... piękna kobiéta-lalka.

Kiedy po raz pierwszy włożyła sukienkę dorosłej panny, i M-me Lacour, ostatnia z guwernantek, opuściła Próżnowo, Zofia pobiegła do swojego pokoju, stanęła przed dużém lustrem i długo patrzyła na swoją postać, wdzięcznie uśmiechniętą w zwierciedlanéj szybie. Powiodła dłonią po aureoli jasnych włosów, poprawiła osuwające się na ramiona warkocze, uśmiechnęła się, podniosła główkę i zawołała:

– Śliczna jestem!

Potém zaśmiała się przeciągłym, srebrnym śmiechem, i nuta walca wpół skoczna, wpół tęskna w tysiącnych spadach

wypłynęła z różanych ustek. Za chwilę lekka, wesoła, zbiegała z szerokich schodów; biała sukienka owijała ją jak obłóczkiem, a myśl walcowym wirem krążyła około jednych wyrazów: w świat! w świat bogactwa! w świat blasku i wielkości!

Pan Andrzej usypiał w fotelu snem błogosławionych, pani Leokadya zamknęła książkę i z roztargnieniem patrzyła przed siebie, Zofia zaś przechodziła od okna do okna, uderzała się wachlarzem po rękę, śliczne usta złożyła z wyrazem niezadowolenia, a na białém czole zarysowała się lekka zmarszczka.

– Mamo, – rzekła po chwili, zbliżając się do matki, – nudzę się!

Pani Swatowska podniosła głowę, spojrzała na córkę i odrzekła:

– *Ma chère*, każ konie założyć i jedź na spacer.

– Nie chcę jechać na spacer, mamo, – z niecierpliwością zawołała Zosia.

– Więc graj albo czytaj, – mówiła znów matka

– *Oh, j'en ai assez* muzyki i czytania! Chcę ludzi, towarzystwa, świata... nudzę się!

– Przyjedzie dzisiaj pan Warzecki, to cię rozerwie. *Je crois, qu'il vous fait sa cour*. Jeżeli się o ciebie oświadczy, wyjdiesz za niego, a będzie ci daleko weselój. On jest bogaty i ma dobre w świecie stosunki. *C'est un mariage tout à fait sortable pour vous*.

Gdy pani Swatowska wymówiła te słowa, ocknął się pan Andrzej i przetarł oczy.

– O panu Warzeckim mowa, o ile się domyślam, – rzekł, poziéwając.

– Tak, – odpowiedziała pani Leokadya; – Zosia nudzi się, my dla niéj do miasta wyjechać nie możemy. *Il faut la marier*. Pan Warzecki, zdaje mi się, zupełnie odpowiada warunkom dobrej partyi. Znam jego krewnych na Wołyniu, ma piękny majątek *et l'extérieur tout à fait distingué*.

– Chłopoman! – mruknął pan Andrzej.

– To prawda, – mówiła znowu pani Leokadya, – *que sa tournure d'esprit n'est pas taut à fait aristocratique*. Niéma się jednak czém zastraszać. Pan Warzecki, choć chłopoman, gospodaruje dobrze, jak mówiła mi sąsiadka jego, marszałkowa Z. Cóż ty na to wszystko, Zosiu?

– *Je trouve, maman*, że pan Warzecki strasznie jest nudny ze swoją powagą. Bywa tu często; ani razu żadnéj miłéj nie powiedział mi grzeczności. Kiedym mówiła mu, że nudzę się na wsi, on, zamiast przyznawać, jak inni panowie, żem stworzona do wielkiego świata i uwielbień, a nie do ciszy wiejskiéj, zaczął prawić o książkach, pracy, o szczęściu i zadowoleniu w jakimś uczuciu, jak mówił, serdeczném i gorącém. Myślałam, że usnę! ... *Mais enfin, quoique il m'assomme avec sa morale*, gdybym była pewną, że po ślubie powiezie mię za granicę, a potem, że będziemy mieszkali w Warszawie, *je serais prête à l'epouser*.

– Bądź pewna, że tak będzie, – zawołała pani Swatowska. – *Un homme de race, comment donc! C'est toujours si galant!* robi, co zechcesz...

– Za prędko, za prędko, moje panie, – przerwał pan Andrzej.
– Warzecki nie oświadczył się jeszcze o Zosię, a jeżeli się i oświadczy, trudno wprawdzie odrzucać taką partycję, przecież wolał-bym kogo innego na zięcia.

W téj chwili na szerokiej drodze zbiegała z góry czwórka siwych koni, zaprzężonych do wołyńskiego wózka.

– Otóż i jedzie! – zawołała pani Leokadya.

– Ale nie pan Warzecki, – rzekła Zofia, patrząc w okno.

Pan Andrzej wstał i zaczął się téż przypatrywać. Czwórka szybko zbiegła z góry, i po chwili była już na dziedzińcu.

– To Michał Starski! – zawołał pan Andrzej, wytaczając się z salonu na spotkanie gościa.

– Michał! – powtórzyła pani Swatowska.

– Kuzynek Michaś! – zawołała Zofia.

Drzwi się otworzyły, i wszedł mężczyzna średniego wzrostu, szerokich ramion, z włosami jasnymi, wpadającymi w rudawy kolor, z okrągłemi, blado błękitnymi oczyma.

– Jak się ma ciocia? – rubasznie zawołał u drzwi i, zbliżywszy się, głośno ucałował rękę pani Swatowskiej.

– Dzień dobry, kuzyneczko! – rzekł, zwracając się do Zofii. – Od roku nie widziałem kuzynki. Jakże wyładniała! Już, dalibóg, śliczna panna!

Zofia zimno podała rękę panu Michałowi, który złożył i na niej głośny całus.

– Pewno bez obiadu? kiedyż z domu? jak się mają znajomi? – pytał pan Andrzej.

Gość usiadł, prosił o obiad i zaczęła się rozmowa.

Pan Michał Starski był krewnym pani Swatowskiej. Silny, barczysty, z białem, szerokim czołem i okrągłemi, rumianemi policzkami, był, w pospolitem znaczeniu tego wyrazu, przystojnym mężczyzną; ale umysłowe kształcenie się swe skończył, niestety! na pięciu powiatowych klasach, i młodość przepędził wśród polowań, jarmarków i odwiedzin sąsiadów lub krewnych. Po śmierci rodziców odziedziczył niewielki i zadłużony majątek ziemski. Mimo zaniedbanego wychowania i małego funduszu, piękne imię i liczne stosunki dały mu pewną pozycją w świecie, i ogólnie utrzymywano, że, aby został całkiem porządnym człowiekiem, brakło mu tylko w układzie pewnych cech arystokratycznych, startych z niego wśród jarmarków i hulanek z przyjaciółmi różnych sfer.

Niezbym go też lubiła za ten brak arystokratycznej dystynkcji pani Swatowska; ale pan Andrzej imponował sąsiadom pokrewieństwem ze Starskimi, lubił więc i pana Michała, który to imię nosił. Wiedząc o bardzo krytycznym stanie jego majątku, postanowił wydzwignąć Starskiego ze złych interesów, i za najstosowniejszy ku temu środek uznał wezwanie w pomoc bożka hymenu.

- Jakież tam u was urodzaje? – zapytał pan Andrzej.
- Złe; pszenica wymarzła, jarzyny poschły.
- A w Jałówce?
- Gorzej niż wszędzie.
- To źle z tobą, panie Michale.

– Oj źle, źle panie Andrzeju. Kredytorowie na karku siedzą, niech ich dyabli wezmą! Trzeba będzie wziąć bizun za pas i pójść na ekonoma.

Pani Swatowska powąchała flakonik z perfumami.

– *Fi donc!* co téż to mówisz, kuzynku! – wyrzekła pogardliwie.

– Na ekonoma! *fi donc!* – powtórzyła Zosia.

– A i cóż uczynię, proszę cioci, jak mi Jałówkę zabiorą? A nastąpi to niezawodnie, bo długu bankowego mam zaległe dwie raty, prócz prywatnych opłat, których i nie zliczę. Sprzedadzą majątek z publicznego targu.

– Poczekaj, może się znajdzie na to rada, – odezwał się na to pan Andrzej. – Czy otrzymałeś mój list?

– Otrzymałem, i właśnie na wezwanie przybywam.

– Jeżeli tak, to wiesz, że możesz tu doskonale się ożenić. Toby wszystko uratowało. Panna młodziutka, kaprysić nie będzie, a rodzice z chęcią wydadzą ją za ciebie, bo to parweniusze, Żytowscy, a ty przecież Starski. Posag zaś co się zowie!...

– Lolę Żytowską swatasz Michałowi? – rzekła pani Leokadya.
– To dobra partya.

– A ile ma posagu? – spytał pan Michał.

– Dadzą jęj zaraz 80 chat, śliczny majątek! Oprócz tego Żytowscy mają niezły folwark, w którym mieszkają, i podobno kapitały.

– Mniejsza o kapitały. Ośmdziesiąt chat, nie bagatelka! Ale czy tylko panna za mnie wyjdzie?

– Już ja w tém... pomówimy.

Drzwi się otworzyły, lokaj zaprosił do stołu. Przy obiedzie pan Michał jadł za czterech; perspektywa wyjścia z kłopotów dodawała mu apetytu.

– Wyborny u ciebie kucharz, panie Andrzeju, – mówił, zającując. – Ale, ale, przywiozłem ci dwie sarny. Kiedym otrzymał twój list, wychodziłem na polowanie. Myślę sobie: jeżeli co zabiję, panna moja, jeżeli nie, dostanę harbuza. Ledwie wszedł do lasu, słucham, Doscocz goni! Wypuściłem Lutnię i stanąłem na przesmyku; aż i sarna skacze. Strzeliłem! ani tchnęła! Myślę sobie: dobrze!... Jeszczem się nie ruszył z miejsca, aż i druga! Fuzya do oka... paf w nią... i wyciągnęła cztery łapy! Kazałem wziąć obie i przywiozłem tutaj. Dobra wróżba, panie Andrzeju, nie prawdaż?

Obadwaj **porządni ludzie** mieli błonki oczne skłonne do wypuszczenia łez; gdy więc pan Michał, uniesiony wdzięcznością, rzucił się w objęcia pana Andrzeja, obaj wydobyli z kieszeni chustki do nosa, i obiad skończył się rozczuleniem publiczności, jak wielkopostne kazanie księdza proboszcza. Panie nie były obecne przy téj rzewnój scenie, a z salonu dochodził srebrny głos Zofii, śpiewającej pieśń o Kalinie.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.